

Kronika

tygodniowa

I zaiste trudno chyba być majowo usposobionym, zwłaszcza jeśli się zważy, że sytuacja poprawia się z każdym dnem... z pleca na łeb. W miarę, jak dzień staje się coraz dłuższy, a noc krótsza, przybiera też kłopotów, które nadto to mają do siebie, iż nie potrzebują nawet do mnożenia się deszczu, jak to mówi przysłowie o grzybach.

Mamy w całej pełni już wiosnę, mamy też i wiosenne kłopoty, gdyż żadna z pór roku jakoś bez nich obejść się nie może. Wiosenne mają to do siebie, iż na pozbycie się ich trzeba bardzo dużo pieniędzy, a tymczasem budżet domowy wykazuje stale niedobór, który w powojennym czasie daleko trudniej pokryć jakąś finansową operacją, niż to było przed wojną. Na początek każdego miesiąca, gdy się przyniesie pod dach rodzinny swą gałę, ma się wprowadzić „na oko” bardzo dużo, jeśli się jednak zrobi zestawienie dochodów i rozchodów, dochodzi się z bólem serca i swędzeniem w okolicy kieszeni, do przekonania, że kwota ta wystarczy, przy najdalej nawet posuniętej oszczędności zaledwie na opędzenie najniezbędniejszych wydatków i to tylko do połowy miesiąca, że zatem nie pozostaje nic innego, jak szukać jakichś nadzwyczajnych źródeł dochodu, a o te, jeśli się nie jest pastkaczem lub lichwiarzem, bardzo trudno.

A tu, jak gdyby na złość, Weronika daje do zrozumienia, że potrzebuje kapelusza, aby się móżdżkiem ludzi pokazać, inni członkowie rodziny wyskakują też z żądaniem, które, aby móżdżek się zaspokoić, trzeba być co najmniej milionerem.

Nadto zbliża się lato, a z niem wyjazd na świeże powietrze, celem poratowania się, nadszarpanych śledmioletnią wojną, wykazującą stale tendencję zmienienia się w trzydziestoletnią. Na razie stosunki są o tyle znośne, że można bez obawy opuścić Kraków bodaj na kilka tygodni, nikt zaś nie wie, czy nie pogorszą się już w roku przyszłym. Weronika jest zatem zdania, że należy korzystać ze sposobności i zdecydowała, że rodzina pana kronikarza wyjeżdża w tym roku na całe lato na wieś, wszystko jedno dokąd, do Zakopanego, Krynicy czy Rabki, byle nie do jakiejś zakazanej dziury, gdzie świat jest deskami zabity i nie widzi się ludzi, a za takich aważa tylko tych, którzy noszą na grzbiecie modne skrojone surduty, na głowach zaś kapelusze z piórami. Nie wzruszają jej bynajmniej wiadomości, podane przez pisma codzienne, że w tym roku trzeba w lotnisku lub uzdrowisku zapłacić co najmniej pięćdziesiąt do stu tysięcy marek za mieszkanie, w pensjonacie zaś po tysiąc marek dziennie od osoby. Na wszelkie w tym kierunku przedstawienia słyszemy stale jedną odpowiedź:

— To głupstwo. Zważ tylko, ile kosztowałyby kuracja, gdyby co nie daj Bóg, które z nas zachorowało. Ten pobyt w murach miejskich odbił się fatalnie na mem zdrowiu... Czuje, że dłużej nie wytrzymam!... Potrzebuję koniecznie świeżego powietrza!...

Na takie *dictum* rady nie ma, nie pomogą przedstawienia i perswazyje, że budżet domowy nie wytrzyma takiego wydatku. To prawda, że świeże powietrze można sobie kupić zupełnie *gratis*, ale te „dodatki”, które są z tem tykanieniem połączone przechodzą wytrzymałość kronikarskiej kieszeni.

Mieszkanie i wyżywienie się, nie licząc już wydatków na należyte przygotowanie się do wyjazdu, lekko biorąc, wynoszą około ćwierć miliona, wprowadzić tylko marek, ale i to trzeba mieć, aby je móc wydać.

Weronika odpowiada stale, że odżyje dopiero na wsi na świeżym powietrzu, gdzie nie brak i mleka i masła i jajek, ale widocznie zapomina o tem, że nasz pocciwy ludek wiejski z pod Krakowa, który nas zaopatrza przez rok cały w artykuły, drze z bliźniego skórę, aż trzeszczy, co dopiero będzie tam, „na wsi”, gdzie na tę sposobność czekają okoliczni mieszkańcy rok cały i w dwu lub trzech miesiącach chcą sobie to odbić z nawiązką. Jeżeli w Krakowie za zwykły serek, niewiele większy od dłoni dorosłego człowieka, trzeba zapłacić obecnie sto do stu pięćdziesiąt marek, ileż zatacza gosposia w Zakopanem lub Krynicy, przyzwyczajona do tego, że letnicy przyjeżdżają tam po to, aby się pozbyć nadmiarów pieniędzy, które im zawadzają.

A samo świeże powietrze, choćby nawet tykanie w przyspieszonym tempie, słuchanie śpiewu słowika, kąpiele w Danajcu lub Popradzie nawet i spacer w nowym kapeluszu i kostyumie po deptaku nie wystarczą. Nieznośny żółątek upomina się o swe prawa, a ma to do siebie, że jest bardzo „ludowo” usposobiony i na wsi tem energiczniej upomina się o te prawa.

Ale trudno!... *Roma locuta causa finita*, rzekła Weronika, że jechać musi, tak się też pewno stanie, obmyślenie zaś środków, które pozwoliłyby na wyjazd, zostawiła także „głowie dom”, która jest od tego, aby się o fundusze starała, to zaś nie usposabia chyba zbyt „majowo”. Gdyby bowiem był w tym roku otrzymał nagrodę z fundacyi Nobla, co mu się zresztą należało, gdyby był wygrał na loteryi klasowej lub „milionówkę”, mógłby o czemś podobnym pomyśleć. Niestety, Nobel dostał się komuś innemu, „ćwiartka”, którą próbował szczęścia na loteryi klasowej należała właścicieli do tych, co nie wyszły, a „milionówka”, jak gdyby obraziła się na Kraków, stała go omiła.

Jest zatem kronikarz w najczarniejszej z czarnych rozpacz i próżno sobie łamie nad tem głowę, gdzie uderzyć, aby trysnęło złotodajne źródło, które umożliwiłoby pani Weronice wyjazd na świeże powietrze, jemu zaś samemu dało bodaj kilka tygodni spokoju domowego, tak niezbędnego „celem poratowania zdrowia” bez potrzeby opuszczania murów miasta. Gdyby ktoś z P. T. Czytelników znalazł na to jakąś radę, zechce łaskawie o tem powiadomić niżej nie podpisanego, a zyska sobie jego dożgonną wdzięczność i z serca płynące podziękowanie. Upraszam przecież o pospłech, gdyż lato już za pasem, a Weronika rada byłaby jak najrychlej wyfrnąć z Krakowa wraz ze swymi psiekami.

Nie pomogły tłumaczenia „na rozum”, poparte cyframi i doświadczeniem swoim i innych, rozpoczęły się układy. Przedewszystkiem zaproponował więc kronikarz wycieczkę na Bielany w pierwszy lub drugi dzień Świąt Zielonych, wyłączny zresztą nie tylko pożytek dla ciała upragnionego świeżego powietrza, ale i dla duszy, gdyż można tam dostąpić odpustu zupełnego. Naturalnie, jeżeli to ma być pielgrzymka, należy ją odbyć piechotą. Przez parę dni przed Zielonemi Świątami mieliśmy majowy deszczyk, nie będzie kurzu, nie będzie też i błota, gdyż Bielany nie podpadają pod kompetencję naszego Zakładu czyszczenia miasta, zresztą kalendarz atuletni zapowiada na sobotę, niedzielę i poniedziałek piękną pogodę, a nawet gorącą, choćby zatem nawet zostało coś błota z poprzedniego tygodnia, będzie mało dość czasu do wyschnięcia. Utycie dorozki jest z góry wykluczone, gdyż byłoby to połączone z wydatkami, co najmniej tysiąc marek, a nie trzeba zapominać, że to już połowa miesiąca, więc kasa domowa zaczyna świecić pustkami, zwłaszcza, że kronikarz był w ubiegłym tygodniu zmuszony do kupienia sobie sznurowadeł do trzewików, które go kosztowały trzydzieści marek. Acz z bólem serca musiał sobie na to pozwolić, łatwiej bowiem przeboleć stratę tej kwoty, niż zapalenie trzewika, który, choć dalszawy, przed stawia dość bardzo pokąsliwartość. Dorozkarze krakowscy każą sobie bardzo słono płacić za każdy kurs, gdyż i oni potrzebują pieniędzy, aby mogli swe żony wysłać za lato na świeże powietrze. Na utylenie „farki” nie pozwalało Weronice poczucie osobistej godności, nie wie się bowiem, kogo ma się za towarzysza podróży.

Propozycya ta została *a limine* z obrzuceniem odrzucona, zaproponował zatem kronikarz awiej lepszej połowie, że tykanie świeżego powietrza można bardzo łatwo połączyć i z materialną korzyścią, a nie być zmuszonym do opuszczenia miasta. Należy w tym celu wydzielzić parcelkę na Bionlach i tam uprawiać jarzynki, za które się dać tyle musi płacić. Będzie się miało codziennie i zajęcie pożyteczne i przyjemne na świeżym powietrzu, za co dotąd nie trzeba osobno dopłacać, grunt zaś będą prawie *gratis* i rzodkiewka i cebulka i ziemniaczki.

I to nie podzielało na Weronikę, która oświadczyła kategorycznie, że nie czuje w sobie ogrodniczych zdolności, aresztą nie ma bynajmniej ochoty pracować, choćby nawet i na świeżym powietrzu, aby potem pierwszej lepszej nocy przyszedł złodziej i wszystko to ukradł. A gdy kronikarz oświadczył swą gotowość pilnowania przez noc plonów, zaśmiała się złośliwie i rzekła:

— Ja wiem o tem, że tobie tylko w głowie, by się usnąć z pod mej kontroli!... Ale nie z tego!... Zresztą jesteś dzienikarzem, nie strótem nocnym!

Nie znalazły w oczach pani Weroniki łaski przedstawienia, jak pięknie śpiewają słowiki w Parku Jordana, jak uroczą na Woll Justowskiej w parku ludowym, gdzie magistrat każe już posiać grzyby i rychło patrzeć, jak je będzie można zbierać, na wszystkie te przedstawienia miała jedną tylko odpowiedź:

— Nie!... Tego roku mam się wyjechać z Krakowa, wszystko mi jedno dokąd, do Zakopanego, Rabki lub Krynicy, byle tylko znaleźć się zdala od miejskiego zaduchu!...

Nie pomogły dalsze tłumaczenia, że przez wyjazd na lato znacznej liczby mieszkańców miasta powietrze i w Krakowie rozrzedzi się i oczyści, stanęło na tem, że jedzie i to zaraz z początkiem czerwca, gdyż wtedy i powietrze i woda są w lotniskach i zdrojowiskach silniejsze i skuteczniejsze, w lipcu zaś zostanie tam

dalej, aby widzieć gromadzący się świat elegancki i paskarski.

Skoro zatem układy nie poprowadziły do skutku, trzeba się było pogodzić z przykrą rzeczywistością i rozpocząć starania o nagromadzenie jak największej ilości marek, co umożliwiłoby Weronice tykanie świeżego powietrza tak dla jej zdrowia koniecznego.

Pierwsze chwile były jak zresztą zazwyczaj, bardzo trudne, konferencje z przedstawicielami „czarnej giełdy” nie wykazały na razie pożądanego rezultatu. Nawet pani Hrszprągowa, zwykle bardzo czuła na niedolę bliźniego, trzyma się w rezerwie, twierdząc, że i ona potrzebuje dużo pieniędzy celem wyjazdu „*nach Swo-szowic*”, również dla poratowania nadwątlonego zdrowia. To jednak kronikarza nie zraziło, wdrożył cały szereg dalszych zabiegów i jest pewnym, że osiągnie pożądaną skuteczną, pozbędzie się swej lepszej połowy bodaj na parę tygodni. Jej ten wyjazd dobrze zrobi, on zaś będzie go musiał odcierpieć, mając zupełnie słuszny powód do narzekania, że „reparacja” jej zdrowia tyle go kosztuje, że mógłby sobie za te pieniądze sprawić nową żonę, nie potrzebującą żadnych naprawek.

Ale trudno! Kto powiedział „a”, ten dodać musi i „b”. Komu się zachciało słodczy małego pospłechu, ten musi być na to przygotowany, że czasem mają one bardzo gorzki posmak. Słodko to mieć spokój w domu bodaj przez kilka tygodni, ale bardzo gorzko płacić potem za to rok cały, albo może nawet i dłużej, gdyż nie trzeba zapominać, że małżonek jest tym kościem ofiarnym, skazywanym stale na utoczenie „złotej krwi”, aby tylko jejmość niczego nie brakło.

Z krytycznego położenia wyratował kronikarza, tak się przynajmniej zdaje, Loyd George. Stanowisko, jakie dzięki angielskiej polityce zajmuje wobec sprawy górnośląskiej pewna część Koalicji, skłoni niezawodnie Weronikę do wyrzeczenia się zamiaru opuszczenia Krakowa na czas letni i pozostała w mieście. Jest ona stałą czytelniczką *Kuryera* i z niego czerpie swe informacje polityczne, obrażona jest też na ministra Sapiechę, podobnie jak i redakcyja jej organu i domaga się jego ustąpienia. Skorzystał z tego kronikarz i zwrócił uwagę swej małżonki na mowę, jaką wygłosił w Izbie Gmin Loyd George, dodając od siebie, że znajdujemy się w przededniu bardzo ważnych wypadków. Z mowy Loyda George’a wynika jasno, że sympatye jego są po stronie Niemiec, co niewątpliwie zachęci Berlin do zajęcia wrogiego stanowiska wobec Polski. Nie jest zatem wykluczone, że siolmy w przededniu wojny z Niemcami, a Kraków, jako położony w bliskości granicy może być narażony na poważne niebezpieczeństwo. Z sposobności skorzystają naturalnie nasi „bracia”. Ciesi i doborą się do nas z drugiej strony, równocześnie zaś dyktator Petruszewicz ogłosił samodzielną Zachodniej Ukrainy, czyli, innymi mówiąc słowy, może się rozpocząć na nowo wojna i to na wszystkie strony. Kronikarz, czując w sobie animsz rycerski, nie mógłby wtedy siedzieć bezczynnie, ale chwyciłby za broń i zaciągnął w szeregi, by dać młodszemu piękny przykład, wobec czego mieszkanie pozostałoby bez dozoru.

I ten argument podzielał na Weronikę. Zaczyna się poważnie zastanawiać, czy zatem nie lepiej zostać w Krakowie, co jeśli się stanie, będzie zasługą tylko Loyda George’a i jego antypolskiej mowy, ale także i zdolności dyplomatycznych kronikarza, który potrafił napędzić strachu swej małżonki, choć sam śmiał się w duchu z tego, co jej kreślił w tak czarnych kolorach.



„HUMOR POLSKI“

Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny.
DO NABYCIA W CAŁEJ POLSCE

Cena Mrk. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Kraków Kazimierza W. 95 (Nowa Wieś).